



EMILIA BECKER

**TAJEMNICA
ZAPADNIĘTEGO
ZAMKU**

Emilia Becker

TAJEMNICA
ZAPADNIĘTEGO
ZAMKU

© Copyright by Emilia Becker & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-422-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

1.

Za uchylonego okna w szkolnej sali dobiegł dźwięk, który przypominał gwizdanie... na flecie. Antek doskonale je znał. Tak mógł gwizdać tylko on – czarny ptak z żółtym dzióbkiem. Kos. Ale nie byle jaki, tylko jego kos, jak Antek nazywał ptaka w myślach. Często pogwizdywał na gałęzi staro-
rego buka – dobrze widocznej z miejsca, w którym ławka Antka sąsiadowała z oknem. Antek tkwił w tej ławce przyciśnięty do szyby, bo Bruno, z którym posadziła go wychowawczyni, korzystał z każdej okazji, by wbić mu łokieć między żebra.

Kos siadywał też na parapecie okna w kuchni, gdy Antek jadł śniadanie. Podskakiwał po podwórku przed domem Antka zawsze wtedy, kiedy chłopiec wychodził powrzucać piłkę do kosza. Szczególnie lubił się kręcić przed gabinetem rodziców. To mogły być różne ptaki, jednak Antek dałby głowę, że widzi wciąż tego samego. Niezależnie od tego, jak blisko podchodził, ptak się go nie bał. Tu przystanął, tam coś dzióbnał, aż nagle zatrzymał się i przyglądał mu się krótko, ale wnikliwie swoimi czarnymi oczami w żółtej oprawie. Antek miał wrażenie, że bardzo chce mu coś powiedzieć, ale nie wie, jak to zrobić.

Pod melodię, która dobiegała właśnie z gałęzi buka, można by podłożyć słowa: „Wakacje, już za dwa tygodnie wakacje!”. Jeszcze tylko wyjazd na zieloną szkołę, parę dni do końca roku i... Antek nie mógł się już doczekać chwili, kiedy będzie

mógł zrzucić z siebie granatową kamizelkę z białą naszywką na piersi, przedstawiającą zwierzę o głowie i skrzydłach orła, a łapach i ogonie lwa. Mimo tego dumnego godła czuł się w swoim mundurku zupełnie nijaki, choć rodzice obiecywali coś wręcz przeciwnego – że będzie kimś wyjątkowym.

Gdy wraz z kolegami przemierzali ulice w swoich granatowych kamizelkach, przechodnie szeptali między sobą o najlepszej i najdroższej szkole w mieście. Może więc prawdą było to, co czasami mówiła mama, gdy wracała z wywiadówki. Antek nie zasłużył na tę szkołę. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że w niczym nie potrafił się wyróżnić?

Wychowawczyni – wysoka szatynka w starannym makijażu – właśnie wyliczała wszystkich uczniów, którzy zdobyli nagrody w konkursach. Przez cały rok szkolny nawet jeden włos nie wymknął się spod starannie zaczesanego koczka. A w swojej prążkowanej koszuli i białych spodniach mogłaby wystąpić w reklamie żelazka i proszku do prania.

– Czas na największą klasową dumę! – powiedziała, a kącik jej ust lekko się unióśł, co było wyrazem największego uznania.

Wiadomo – chodziło o Sławinę. Wyprostowana jak struna blondynka z włosami związanymi w niedbały kucyk była bardzo tajemnicza. Choć mieszkała z tatą i babcią blisko domu Antka, rzadko widywał ją po szkole, bo wечно trenowała. Więcej na jej temat można się było dowiedzieć z wywiadów, które udzieliła kilku lokalnym gazetom. Wywiady wisiały w szkolnej gablocie. Mówiła, że zainteresowała się siatkówką, ponieważ jej mama, która zmarła krótko po jej

urodzeniu, była znaną siatkarką. Też chciała zdobywać medale jak mama i dzięki temu być bliżej niej.

– I jeszcze jedna wspomniała wiadomość – kontynuowała nauczycielka. – Nasza klasa będzie najlepsza w szkole. Mamy aż dziesięć świadectw z paskiem. To prawie połowa klasy!

W oczach wychowawczyni zabłyśły iskierki. Antek spojrział przez okno. Kos, który sfrunął właśnie na parapet, po kiwał łebkiem ze zrozumieniem – zupełnie jakby wiedział, że Antek nie należy do tej szczęśliwej dziesiątki.

– A ja będę miał pasek? – zapytał swoim zachrypniętym głosem Bruno. Trudno było znaleźć w szkole dwóch chłopców, którzy nie znosili się tak bardzo jak Bruno i Antek. Bruno, ze swoją kwadratową twarzą i szerokimi barkami wyglądał jak starszy brat niewysokiego i szczupłego Antka. Wychowawczyni posadziła Bruna z Antkiem za to, że wiecznie mówił z tyczkowskim Leonem i krępyym Samborem, którzy byli tak nierozłączni, że dzieci wołały na nich Szczypiorek i Cebulka. Bruno nie mógł się z tym pogodzić, a cenę za decyzję wychowawczyni – w postaci kuksańców i zaczepek – ponosił oczywiście Antek, którego Bruno na złość nazywał Tośkiem.

Teraz wychowawczyni rzuciła Brunowi stalowe spojrzenie.

– Przecież wiesz, że nie. Brakuje ci jednej oceny do paska. Nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Bruno westchnął.

– Ale to wciąż bardzo dobre świadectwo. – Pani delikatnie uniosła kącik ust. – A za rok może będziesz miał już z paskiem.

– Nie chcę za rok! – Bruno nałożył kaptur na swoją rozwi-chrzoną czuprynę i schował twarz w dłoniach.

– Tata obiecał mi, że pojedzie nurkować z delfinami, jak będzie miał pasek... – Chichoczący Sambor przypominał teraz rzodkiewkę. – Z wszystkich przedmiotów miał korepetycje, a mimo to się nie udało.

Dzieci wybuchły śmiechem. Bruno od kilku miesięcy przy każdej okazji chwalił się tymi wakacjami z tatą. Zresztą, jak co roku. Jego tata mieszkał w Hiszpanii ze swoją nową rodziną, ale dwa letnie tygodnie spędzał wyłącznie z Brunem i serwował mu wtedy mnóstwo atrakcji. Stawiał tylko jeden warunek: świetne oceny.

Pani oczywiście nie знаła całej tej historii, więc tylko pokręciła głową.

– Chcesz mieć pasek ze względu na nurkowanie? Oj, Bruno... to nie tak – zawahała się. – Ale zaraz, zaraz! Może jest jakaś szansa...

Bruno zdjął kaptur i podniósł głowę.

– Podczas zielonej szkoły czeka was gra. Wyprawa po skarb – wyjaśniła wychowawczyni, a po sali przeszedł szmer zainteresowania. – Zwycięska drużyna dostanie wyższy stopień z przyrody!

Gdyby Antek miał pod swoją kamizelką bluzę z kapturem, nałożyłby go teraz na głowę. Znowu jakieś oceny? Myślał, że zielona szkoła to po prostu wycieczka. Zresztą, jedna wyższa ocena i tak niczego by w jego wypadku nie zmieniła.

– Dla ciebie, Bruno, to byłaby szansa na lepsze świadectwo – kontynuowała nauczycielka i uniosła kącik ust. – No i te twoje delfiny, oczywiście.

Bruno uśmiechnął się tak szeroko, że nawet jego piegi wydawały się większe.

– Wygram. Strzeżcie się! – zawołał i wymierzył Antkowi pod ławką porządnego kuksańca.

Antek zakrył usta, żeby nie krzyknąć. Nie chciał, żeby inni się nad nim litowali ani brali go w obronę. Wyobrażał sobie mnóstwo razy, jak to postawi się Brunowi, jednak gdy przychodziło co do czego, stać go było tylko na zakrycie ust.

– A skoro o zielonej szkole... Jesteście już spakowani? – spytała wychowawczynie.

Odpowiedziały jej niechętnie mruknięcia: „Prawie”, „Jeszcze nie”, „Głupie pakowanie”.

– Autokar będzie na was czekał przed szkołą o ósmej – przypomniała pani.

– Jak długo będziemy jechać? – spytał Leon.

– Ileż to razy można powtarzać – westchnęła pani. – Trochę ponad godzinę...

– Eee, to nie będzie nawet sensu filmu puścić – stwierdził Sambor, a z sali odpowiedziało mu zawiedzione jęknięcie.

Pani pokręciła głową.

– Za to będzie sens cieszyć się widokami – powiedziała. – Jedziemy do pięknej, zacisznej kaszubskiej wioski.

– Antek podobno tam był! – wtrącił się Leon.

Antek pożałował, że mówił o tym na przerwie. Zwłaszcza, że pani podchwyciła temat.

– Tak, Antku? – zagadnęła.

Chyba po raz pierwszy od początku roku spojrzała z zacięciem na kogoś tak przeciętnego jak on.

Poczuł, że uszy go pałą.

– Nie byłem. Mój pradziadek się tam wychował – powiedział .

– I mój prapraprapradziadek też! – Sambor zachichotał.

– I jeszcze mój prapraprapra... – rzucił ktoś z tyłu sali.

Antka piekły już nie tylko uszy, ale i policzki. Gdyby oni wiedzieli, kim był jego pradziadek! Zmarł, gdy Antek miał za ledwie roczek, jako ponad dziewięćdziesięcioletni staruszek. Mama, czyli jego wnuczka, mówiła o nim jak o bohaterze. Jako pierwszy w rodzinie skończył studia, został stomatologiem, zamieszkał w mieście, a z czasem zbudował dom i gabinet, w którym obecnie pracowali rodzice Antka.

Pani uderzyła kilkakrotnie dziennikiem w biurko, aż na sali zapadła cisza.

– Dobrze, że Antek zna historię swojej rodziny i odwiedzi miejsce, w którym wychował się jego pradziadek. Całkiem możliwe, że wasi pradziadkowie także pochodzą z Kaszub. Czy wiecie o nich cokolwiek?

Na sali zapadła cisza. Antkowi przebiegła przez głowę pewna myśl. Ciekawe, czemu rodzice nigdy nie zabrali go do miejsca, w którym wychował się pradziadek, skoro to było tak niedaleko?

W tym momencie zadzwonił dzwonek, ogłaszając początek słonecznego czerwcowego popołudnia – w dodatku dłuższego niż zwykle, bo przed zieloną szkołą nie trzeba było odrabiać lekcji.

Dzieci wrzucały książki do plecaków tak szybko, jakby brały udział w wyścigu. Pierwsza ruszyła przed siebie Sławina. Antek chciałby wracać z nią ze szkoły, ona jednak, podobnie jak większość ludzi, traktowała go jak kogoś niewidzialnego. Wyprzedziła go swoim szybkim, sportowym krokiem. Antek zamierzał przemknąć niezauważony obok nierozłącznej

trójki: Bruna, Leona i Sambora, ale niestety nie udało się. Bruno zerknął na niego, po czym powiedział nienaturalnie głośno:

- Ze Sławiną to bym mógł być w drużynie, ale nie z Tośkiem. Z nim to na pewno nie wygram!

Bruno kiedyś usłyszał, jak mama mówi do Antka „Tosiek” i odtąd zawsze tak go nazywał. Antek tego „Tośka” też nie znosił i wielokrotnie przypominał o tym mamie, ale ona uparcie tak do niego mówiła.

- Hej, Sławina! – krzyknął Bruno.

Dziewczyna odwróciła się i wzruszyła ramionami. Ale przynajmniej się odwróciła...

W oddali zobaczyli już znajomy buk o trzech pniach. Zając odwrócił się w ich kierunku i zniknął za drzewami. Jak to on, bez śladu. Zniknęła też szata, która ich łączyła. Rozpłynęła się w powietrzu.

Z niedaleka dochodziły znajome głosy.

– Są! Są! – krzyknął pan Tomek. Biegł do nich tak szybko, że pompon na czubku jego brody podskakiwał jak szalony.

Bruno rozejrzał się dookoła. Nie miał złudzeń. Pozostali dawno już wrócili ze swojej wyprawy. Byli ostatni. Opiekunowie i dzieci otoczyli ich ciasnym kołem.

– Jak wy wyglądacie? – spytała pani Ania z troską w głosie.

Spojrzeli na siebie i dopiero teraz zauważyli, jak bardzo byli obdrapani i posiniaczeni.

– Jesteśmy ostatni? – upewniał się Bruno.

– Tak – przyznał pan Tomek. – Ale najważniejsze, że jesteście!

– Wy-gra-li-śmy! Wy-gra-liś-my! – skandowali Leon i Sambor.

– Wcałe nie wygraliście! – Bruno krzyknął tak głośno, że wszyscy zamilkli. – Tylko my byliśmy w prawdziwym zamku i mamy prawdziwą pieczęć! – Wręczył im mapę, na odwrocie której widniała pieczęć Sobiesława. To niezwykle. Baśń zniknęła, a ta pieczęć pozostała.

Nie zrobiła ona najmniejszego wrażenia na Leonie i Samborze.

– A co to za dziwactwo? – spytali. – Wzięliście ze sobą plastelinę czy co?

– Jaką plastelinę? To jest prawdziwa pieczęć! Książę Sobiesław odcisnął ją swoim pierścieniem.

Sambor podetknął mu pod nos swoją ulotkę, ze słabo widoczną pieczętką, odcisniętą w tuszu.

– Ta jest prawdziwa – powiedział.

Pan Tomek położył dłoń na ramieniu Bruna.

– Posłuchaj, wiem, że ci zależało, ale...

– Nie chodzi o to, że mi zależało, ale to była prawdziwa Baśń! Prawdziwy zamek, księżę i księżna, Borowc i Borowa Cotka. Wszyscy możecie tam pójść! – Bruno aż ochrypnął od tych okrzyków.

Pan Tomek gładził go po ramieniu.

– Spokojnie, spokojnie – powtarzał.

Pani Ania stała z boku z rękami splecionymi na piersiach i uważnie się Brunowi przysłuchiwała. W końcu zaklaskała w dłonie.

– Kochani! – powiedziała. – Czas już wracać. Panie w stołówce czekają na nas ze spóźnionym obiadem. Pewnie jesteście strasznie głodni, co?

Dzieci ruszyły za panem Tomkiem, a pochód zamykała pani Ania. Antek trochę zwolnił, by zrównać z nią krok.

– Proszę pani? – zaczął.

– Antku, jeśli chodzi o to, kto zwyciężył, to...

– Nie. Chodzi mi o zdjęcie.

– Jakie zdjęcie?

– To z korytarza, na którym była pani babcia.

Pani Ania uniosła brew.

– Wiem, kim byli koledzy pani babci. To mój pradziadek Franek i jego brat Antek.

– Franek i Antek. Tak... – Pani Ania próbowała sobie przypomnieć. – Babcia opowiadała mi o nich. Najczęściej właśnie

o Antku. Myślę, że się w nim podkochiwała. Ale w pewnym momencie ich znajomość się zerwała. Babcia nie chciała o tym mówić. Co się z nim stało?

– Po pewnej wyprawie do lasu bardzo się zmienił. Niektórzy mówili, że zwariował. Ciągłe powtarzał, że przez niego zapadł się zamek.

Pani Ania pokiwała głową i wyjęła z torebki mapę wyprawy.

– Babcia mówiła, że ten las jest baśniowy. I że istnieje ścieżka, Zakłęta Stegna, którą można tam dojść. Zostałam leśniczką, żeby ją odkryć, ale mi się nie udało. Cała nasza zabawa jest stworzona z jej wspomnień.

– To dlatego ta mapa się zgadzała z tą, którą narysował wujek. A ja myślałem....

– Byliście tam, prawda? – przerwała mu pani Ania ściszym głosem.

Antek przytaknął.

– Gdzie jest Zakłęta Stegna?

– Za tamtym dziwnym bukiem, przy którym zostawiła pani dla nas wskazówkę.

Pani Ania odwróciła się w kierunku polany.

– Babcia mówiła, że to on. Stamtąd prowadzi tylko wąska ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Ileż razy na nią wchodziłam, żeby trafić do Baśni. Ale ona szybko się urywa.

– Trzeba iść za zającem – wyjaśnił Antek. – Takim, który ma trzy tylne nogi.

W oczach pani Ani zabłyśły iskierki.

– Zaczarowany zając, a więc on istnieje... Babcia mi o nim opowiadała. Szukałam go całe dzieciństwo.

– Spotka go pani na pewno. Po tym, jak uratowaliśmy Baśń, będzie częściej wybiegał na Stegnę. A ludzie nie muszą już się bać Wilczego Bagna.

Przez chwilę szli w milczeniu. Antek próbował połączyć ze sobą te dwie historie. Przy drodze ukazały się już zabudowania wsi. Pani Ania wskazała na jeden z domów.

– O, tam mieszkał twój pradziadek – powiedziała.

– Nie wiedziałem.

– Naprawdę?

– Nigdy tu nie byłem. To przez przeznaczenie. Mama myślała, że spotka mnie podobny los co wujka. Bała się, że coś mu się stanie.

– I rzeczywiście, spotkał cię podobny los, a jednak zupełnie inaczej z niego wybrnąłeś. – Pani Ania uśmiechnęła się. – To, co najważniejsze w naszym życiu, kryje się w tym, czego najbardziej się boimy.

38.

Nowa poczekalnia prezentowała się elegancko i przestronnie. Ale pamięć o prawujku całkowicie nie zniknęła. Na ścianach wisiały oprawione w ramki szkice i zdjęcie z jego biurka, a regał w kąciку dla dzieci pękał w szwach od książek z bajkami.

– Mama się uparła. – Tata machnął ręką. – Niech jej będzie.

– Pacjenci przynajmniej będą sobie mogli coś poczytać, jak będą czekać na wizytę – powiedziała wolno mama.

Tata wzruszył ramionami.

– U nas nie ma opóźnień.

– Ale niektórzy lubią przychodzić wcześniej.

Antek przeczuwał, że zbliża się sprzeczka, więc dotknął palcem starego zdjęcia, na którym dziewczynkę z kokardą na czubku głowy obejmowali z dwóch stron chłopcy w kaszkietach.

– Jeden z nich to pradziadek w dzieciństwie – powiedział.

– Tak. Skąd wiesz? – Mama się ucieszyła. – Pradziadek to ten. – Wskazała na chłopca po lewej stronie. – A ten drugi to jego brat, wujek Antoni.

– Wiesz, kim była dziewczynka? – spytał Antek.

– Nie mam pojęcia.

– A ja wiem! To była Marianka. Poznałem jej wnuczkę, panią Anię. Prowadziła z nami zajęcia na zielonej szkole.

– Naprawdę? Też muszę ją poznać! Może opowie mi o jakichś tajemnicach wujka?

Gdy wyszli z gabinetu, Antek z przyzwyczajenia rozejrzał się po podwórku w poszukiwaniu kosa. Brakowało mu go bardzo. Wiedział, że już go więcej nie zobaczy, nawet jeśli uda mu się wrócić do Baśni.

Sięgnął do kieszeni i dotknął kamienia. Dobrze, że przynajmniej on pozostał mu z wyprawy. Zawsze będzie mu podpowiadał, czy idzie w dobrym kierunku.

Kaszubska Basin

